

Dobro ludzi najwyższym prawem

Z księdzem arcybiskupem Ignacym Tokarczukiem rozmawiają Joanna i Bogusław Kopaczowie

Ksiądz arcybiskup znany jest z dużego i ofiarnego zaangażowania w sprawy religijne i społeczne. Czy ten społeczny rys duszpasterstwa ma związek z osobistymi doświadczeniami życiowymi księdza arcybiskupa?

- Na to złożyło się bardzo wiele czynników. Trzeba pamiętać, że moje rodzinne strony to Zbaraż w diecezji lwowskiej. Lwów do 1918 r. był miastem stołecznym Galicji, gdzie po uzyskaniu autonomii w XIX wieku działał Sejm Galicyjski. Ta autonomia dała Galicji język polski w szkołach, łącznie z uniwersytetami, i możliwość organizowania się społecznego i politycznego. Lwów był głównym ośrodkiem politycznym w zaborze austriackim. Tu przybywali m.in. uciekinierzy z zaboru rosyjskiego. Tu był też największy ośrodek naukowy, i redakcyjny. Poza tym diecezja lwowska to diecezja wielonarodowa. Na tym terenie działały kościoły greckokatolicki, rzymskokatolicki, byli też Żydzi. Moje gimnazjum w Zbarażu – Państwowe Gimnazjum Koedukacyjne im. Henryka Sienkiewicza miało trzy grupy uczniów: pochodzenia polskiego, ukraińskiego i żydowskiego. Równocześnie w Galicji „budziła się” wieś, działał ks. Stanisław Stojałowski i inni, działali też ludowcy. Zaznaczyły się tu głębokie podziały: społeczne, polityczne itp.

W tej atmosferze wyrastałem i dlatego dla mnie już od dzieciństwa problemy społeczne były bardzo ważne. Po maturze, w 1937 r. zgłosiłem się na Uniwersytet Lwowski, na wydział teologiczny. Codziennie chodziliśmy tam na wykłady, ale mieszkaliśmy w Seminarium Duchownym. W tym czasie działało na uniwersytecie dyskusyjne koło naukowe studentów. Palącymi problemami były wtedy problem żydowski, problem ludowy oraz demonstracje studenckie. Tymi wszystkimi sprawami żywo interesowaliśmy się. Po studiach i święceniach kapłańskich podjąłem naukę w Lublinie na wydziałach prawa i ekonomii. Interesowała mnie również historia wsi polskiej. Czułem potrzebę pogłębienia tej wiedzy. Ideałem mojego kapłaństwa była praca z szerokimi grupami, czy to miejskimi, czy wiejskimi. Stąd pragnienie zdobywania wiedzy i praktyki.

Już od najmłodszych lat w stronach rodzinnych ksiądz arcybiskup poznał, co to jest komunizm...

- W młodości mieszkałem blisko granicy sowieckiej. Mój dom znajdował się 30 km od Zbrucza. Interesowało mnie, co się tam dzieje, i wiedziałem jaka toczy się bezwzględna walka z religią, z kulturą, z polskością i z każdym narodem, który nie chciał być komunistyczny. Już jako młody chłopak czytałem czasopismo „Bezbożnik”, które otrzymywałem przez granicę, i widziałem jak komuniści wszystko niszczą i depczą oraz jak bluźnią. Nawet w domu nie można było mieć znaku krzyża czy świętego obrazu.

Politycy mówią, że liczy się kompromis. Dlaczego ja w późniejszym czasie nie szedłem na ten kompromis z władzą? Dlatego, że komunizm dążył do bezwzględnego zniszczenia religii. W tej sprawie nie ulegałem nigdy złudzeniom. Choć były okresy ulgi, były reformy, przyznawanie się do błędów, ale ja wiedziałem, że to wszystko jest tylko manipulacją z ich strony, po to, by oszukać i dalej robić swoje.

I dlatego kiedy powierzono mi diecezję przemyską, zdawałem sobie sprawę, że będę nią kierował w czasach „nienormalnych”. Pracując w Olsztynie przez 10 lat, organizowałem m.in. Seminarium Duchowne, miałem wykłady, prowadziłem duszpasterstwo akademickie w Wyższej Szkole Rolniczej. Jednak władze nie zgodziły się, żebym został tam proboszczem, choć prowadziłem duszpasterstwo i byłem tam gospodarzem. Postawili mi rozmaite zarzuty,

że jestem wrogiem, przeciwnikiem socjalizmu i że nigdy nie zgodzą się na jakieś odpowiedzialne stanowisko dla mnie.

Mimo to został ksiądz arcybiskup pasterzem Kościoła przemyskiego...

- Nominację moją podpisał Paweł VI 4 grudnia 1965 r. Z rąk prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego otrzymałem ją 18 grudnia 1965 r. Nominacja była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Prymas wezwał mnie do Warszawy, gdzie przyjechałem z Lublina. Przedstawiłem mu swoje obawy. Przestraszyłem się, bo wiedziałem, co to jest komunizm: w 25 lat po wojnie zniszczono Armię Krajową, zniszczono wszystkie siły polityczne, wielokrotnie sfalszowano wybory. Naród był w apatii i depresji. Byłem w rozterce: co robić? Prymas jednak uspokajał i namawiał mnie, żebym nie robił trudności, żebym się zgodził. Mówił: „niech ksiądz przyjmie tę nominację, bo 3 miesiące upłynęło, kiedy według ustawy mieli czas na sprzeciw, i jak się odwlecze, to nie wiadomo czy przyjmą kogoś innego”. Wiedziałem, że skoro Ksiądz Prymas prosi, to moim obowiązkiem jest podjąć obowiązek. Przed konsekracją, by duchowo się przygotować, zamknąłem się na tydzień w Leżajsku u Bernardynów i medytowałem. Modliłem się, aby poznać co mam robić, jak ustawić swoją pracę. Miałem świadomość jakie są potrzeby. Wiedziałem, że diecezja przemyska obejmuje tereny, na których dokonano zmian granic, wiedziałem, że były tam wysiedlenia i przybyli nowi ludzie, których trzeba integrować. Podczas tych rekolekcji prosiłem Pana Boga o odwagę, o jasne rozeznanie, żeby nie popełnić błędów.

Jak to się stało, że komuniści od pierwszych dni pasterzowania uważali księdza arcybiskupa za wroga?

- Już podczas ingresu naraziłem się władzy. Powiedziałem, że przychodzę uczyć o Panu Bogu, o sprawach najważniejszych dla człowieka. A równocześnie powiedziałem, że w sprawach zasadniczych, w sprawach prawdy i wiary kompromisu nie będzie. Powiedziałem wówczas, że „żyjemy w czasach nienormalnych”. No i wezwano mnie do Rzeszowa na rozmowę. Jeden z oficerów od razu zaatakował mnie: „Jak można mówić o czasach nienormalnych. Przecież socjalizm jest na czasie. Co ksiądz biskup będzie rozwałił to wszystko?” A ja odpowiedziałem: „Panie, czy jest rzeczą normalną, że ja oficerom muszę dawać śluby w kościele przy drzwiach zamkniętych? Czy rzeczą normalną jest, że kierownik szkoły swoje dziecko do I Komunii św. czy do chrztu posyła do babci gdzieś na dziesiątą wieś? Czy te rzeczy są normalne?” Nic na to nie odrzekł.

Od czego rozpoczął ksiądz arcybiskup swoją posługę w diecezji?

- Wiedziałem, że mam tylko jedną drogę, a mianowicie podważanie ustawodawstwa komunistycznego względem Kościoła. I od tego zacząłem.

Postanowiłem od początku uświadamiać ludzi, jakie są cele władz komunistycznych i popierać to dowodami. Wysłałem kilka podań do władz w sprawie budowy kościołów w Rzeszowie i w innych miejscowościach. Otrzymałem na nie odpowiedzi negatywne: „Tu jest socjalizm, a kościołów jest za dużo”. Wysyłałem odwołania do Warszawy. Stamtąd też przychodziły odmowy. Ogłaszałem to ludziom i mówiłem: „Moi drodzy, to prawo jest po to, żeby nas zniszczyć i prawo dążące do zniszczenia ani mnie, ani was w sumieniu nie obowiązuje. Będziemy robić wszystko, według ich języka bezprawnie, aby osiągać swoje cele”. Na początku ludzie byli zszokowani i zastanawiali się, co z tego wyniknie. Byli nieprzygotowani, zalęknieni. Pytali, co będzie, jeśli zostaną nałożone kary finansowe? I wtedy oświadczyłem publicznie, że jak będą kary finansowe, nikogo nie zostawi się samego. Jeśli będą wielkie kary, których i wspólnota cała nie udźwignie, to nikogo nie zostawi się samego. Jeśli skazą kogoś na więzienie, to też nie zostawimy go samego. To ludzi uspokoiło, dodało odwagi.

Jedną z pierwszych moich decyzji było przyznanie parafii wszystkim zakonom w diecezji. Następnie kilka miesięcy po konsekracji, wraz z księdzem towarzyszącym i szoferem, z mapami i szkicami w ręku, jeździłem po całej diecezji, aby przekonać się jak wyglądają poszczególne placówki, jakie są ich potrzeby, jacy mieszkają tam ludzie. Wszystko po to, by mieć rzeczywisty obraz diecezji. Nawet pracownicy kurii znali tylko okolice swego urodzenia i swej pracy, a nie cały teren. A trzeba było podejmować decyzje dla całej diecezji. Stwierdziłem wówczas, że konieczna jest reorganizacja.

I wtedy zacząłem. W rozmaitych budynkach, szopach organizowano kaplice i punkty katechetyczne. Szczegółowo jest to opisane w 4 tomach przez proboszcza sanockiego Antoniego Szypułę, który zebrał dane dotyczące historii budów. Tych obiektów – miejskich i wiejskich znalazłem w sumie 430. Wspomniana przeze mnie publikacja zawiera kilkadziesiąt zdjęć tych pierwszych szop, czasem starych szkół, budek, takich małych, że tylko „jedną nogę można było postawić”. One już nie istnieją, ale od nich się zaczynało.

Jak to możliwe, że komuniści nie protestowali przeciw nominacji biskupiej księdza, którego już poznali jako wroga systemu?

- Sami zastanawiali się, jak doszło do nominacji na biskupa takiego wroga władzy ludowej jak ja. Partia była zaniepokojona. W związku z tym minister ds. wyznań Kazimierz Kąkol tłumaczył, że zaszła pomyłka. Przedstawiał sprawę w ten sposób, że list z propozycją nominacji mnie na biskupa wysłał prymas kard. Stefan Wyszyński w zastępstwie nieobecnego Nuncjusza. Następnie przesłano go do premiera Cyrankiewicza, który miał zaopiniować i przesłać do władz bezpieczeństwa do realizacji, ale premier miał bałagan na biurku i zapomniał o tej nominacji. Rok temu na KUL-u wyszła praca naukowa pod kierunkiem ks. prof. Zielińskiego „Persona non Grata”, która podważa argumentację Kąkola. Autorka twierdzi m.in., że komuniści przepuścili tę kandydaturę, bo zastosowali taką samą taktykę jak wobec kard. Karola Wojtyły, co oczywiście również w moim przypadku nie przyniosło pożądanego skutku. Wiedzieli mianowicie, że ja zawsze mówię prawdę i nie zawsze to się podoba. Liczyli, że będę stwarzał konflikty. Przypuszczali, że ja już kłócę się z Prymasem i że dążę do osiągania własnych celów.

W okresie posługi pasterskiej księdza arcybiskupa diecezja przemyska była jedną z najbardziej rozległych w Polsce. Na jakie utrudnienia ze strony władz napotykał ksiądz arcybiskup w wielkim dziele pomnażania liczby kościołów i rozbudowywania sieci parafialnej?

- Miałem dużo księży, którzy budowali i odkrywałem wśród nich talenty organizacyjne. Takich księży jak ks. Edward Frankowski miałem wielu.

Najtrudniejsza sytuacja była w parafii na Starym Mieście - Rzeszów-Fara. Miasto rosło. Szukaliśmy jakichkolwiek budynków, by założyć parafię. Na wsi ludzie bardziej się znali i tam szło łatwiej. W mieście z kolei, osoby wtajemniczone z danej dzielnicy nieraz szukały choćby szopki na małym placu. Właśnie tak powstawały pierwsze kościoły w Rzeszowie. Choć były to „budy”, ale już ludzie mogli się gromadzić, „budzić się”, zbierać się na odwagę. I dzisiaj Rzeszów ma przeszło 20 parafii. Stał się siedzibą diecezji, przez co podniósł się także jego autorytet. Bez tamtej determinacji nie byłoby tego.

W Bieszczadach natrafiałem na sprzeciwy, np. w okolicach Leska. Tam urzędował bardzo zajadły sekretarz partii. Z przyjemnością niszczył cerkwie, a w końcu popełnił samobójstwo. Pamiętam, że podczas jednego z procesów, cała wieś poszła z chorągwiami do sądu i odwołano proces. Sprawę przeniesiono aż za Sandomierz, żeby ludzie nie dojechali. A ci i tak dojechali. Tak właśnie przełamano barierę strachu.

Partia podpałała też kościoły, np. w Starej Wsi w bazylice Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny u Jezuitów. 6 grudnia 1968 r. podpalacze rzucili napalm i spalili słynący cudami koronowany obraz, umieszczony w ołtarzu głównym. Temperatura była tak wysoka, że na drugim końcu organy spaliły się, ale mury wytrzymały. Od tej pory ludzie pilnowali świątyni w nocy.

A jak powstawały nowe świątynie na terenie byłego województwa tarnobrzckiego?

- W Stalowej Woli po wojnie zaczęto budować kościół z prefabrykatów i tę budowę przerwano. Pierwszemu proboszczowi ks. Józefowi Skoczyńskiemu ogromnie współczuję, bo bardzo dużo go to kosztowało. Szykany i bezustanną walkę z władzą komunistyczną przyplącił chorobą i śmiercią.

Podobnie było w Tarnobrzegu z parafią Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Osiedle rosło, staraliśmy się o legalne założenie parafii, a tu wciąż decyzje negatywne. Nie było wyjścia, kupiliśmy u rencisty kawałek ogródka, ze starą chałupą. Niektórzy mówili, żeby nic nie rozpoczynać bez notariusza. A ja mówiłem: „Jak my poświęcimy, to i notariusz zatwierdzi”. I na tym miejscu z inicjatywy obecnego proboszcza w jego poprzedniej parafii mieszkańcy zmontowali lekki barak. Dałem ogłoszenie w Tarnobrzegu, by ludzie pilnowali budowy. Komuniści postawili naprzeciw milicję, żeby materiałów budowlanych nie można było dowieźć.

U dominikanów w Tarnobrzegu postawiono kaplicę w stodole. Kiedyś, w ostatniej chwili, dali mi znać, żeby ją poświęcić, i do dzisiaj służy. Podczas jej budowy mieszkańcy zorganizowali się w komitet i namówili odważnego kierowcę, by z Tarnobrzega jechał zygakiem. Obiecali, że mu koszty kary zwrócą i jeszcze go jakoś wynagrodzą. Przy budowie stał milicjant i pojechał za „piratem” do Sandomierza. Zanim go dogonił, to trochę potrwało. W międzyczasie ciężarówka z deskami przyjechała i zaczęli umacniać kaplicę, bo gdyby mocny wiatr dmuchnął, to runęłaby. Komuniści przegrali, a społeczeństwo rosło w siłę. Zresztą z biegiem czasu przegrywali coraz częściej.

W Zbydniowie, gdy mieszkańcy budowali kościół, komuniści ustawili wartę i przyjeżdżali zabierać drzewo przeznaczone na budowę dachu, ale ludzie okazali się sprytniejsi i zorganizowali jakąś lekką konstrukcję w którejś z sąsiednich wsi. W nocy, gdy wartownicy z SB spali w autach, ludzie dach postawili. Gdy stróż rano wstał i zobaczył, że dach stoi, przeklął i pojechał do komendy. I tak przełamywało się bariery strachu.

W takich warunkach budowano nowe kościoły i powstawały nowe parafie. Było ich około 220. Pierwszy etap to przeważnie był barak, bardzo prosty i ubogi. Nawet SB to wykorzystywało, pisząc do Prymasa, że ja „jestem bez wiary, bo jak Pana Boga wprowadzać do takich szop”. A ja zawsze odpowiadałem, że „szopa betlejemka wcale nie była lepsza”.

Bardzo cenna była pionierska koncepcja księdza arcybiskupa utworzenia w ramach diecezji regionów duszpasterskich i umieszczenia w dużych ośrodkach miejskich na terenie diecezji – w Rzeszowie i w Stalowej Woli – księży biskupów pomocniczych. Ułatwiło to księżom i wiernym kontakt z biskupem. Czy ksiądz arcybiskup mógłby podzielić się swoimi wspomnieniami dotyczącymi tej sprawy w odniesieniu do Stalowej Woli?

- Ten problem jest starszy. Dotyczy jeszcze czasów, gdy Ojciec Święty Jan Paweł II był arcybiskupem krakowskim. W tych czasach w Episkopacie była Rada Główna oraz Rada Duszpasterska, która ustalała, jak organizować i ulepszać pracę Kościoła.

Wtedy już planowaliśmy reorganizację Kościoła polskiego. Ustaliliśmy zasadę, że liczebność diecezji nie może przekraczać miliona mieszkańców. Górna granica mogła być mniejsza, ale nie większa. To dotyczyło też reorganizacji sieci parafii. Planowane były zmiany według kryteriów, że parafia miejska nie może przekraczać dziesięciu tysięcy, a w

wiejskiej kościół nie może być oddalony od miejscowości bardziej niż dwa kilometry. Oczywiście nie od razu udało się to zrealizować, stało się to dopiero w 1992 r. Jednak koncepcja istniała już 10 lat wcześniej.

Na naszym terenie planowano, że 14 dekanatów przekazemy do diecezji rzeszowskiej. Było to mniej więcej 140 parafii, w tym szereg kościołów nowych. Siedem dekanatów diecezji przemyskiej planowaliśmy przyłączyć do diecezji sandomierskiej. Rejon Sandomierza leżał na sercu nam wszystkim, ponieważ do Sandomierza należała cała diecezja radomska. By podnieść stopień religijności na tym terenie, należało uzupełnić diecezję radomską. Diecezja przemyska dała siedem dekanatów, jeden dekanat dała tarnowska, trzy – lubelska. Te parafie wraz z pozostałymi z okolic Sandomierza weszły w skład obecnej diecezji sandomierskiej. Obecnie dynamicznie się ona rozwija, a o to właśnie chodziło.

W myśl zasady Cycerona: *Salus animarum suprema lex* – dobro ludzi najwyższym prawem” – działałem, by zmiany wpłynęły na rozwój diecezji.

Podczas procesu księdza Jerzego Popiełuszki nagłaśniano fałszywe zarzuty władz, by skutecznie zniszczyć księdza arcybiskupa.

- W czasie procesu toruńskiego wysunięto przeciwko mnie spreparowane oskarżenia. W prowincjonalnym miasteczku na Sycylii wydawano piśmiennictwo finansowane przez ambasadę Libii, w którym zamieszczano fałszywe oskarżenia pod adresem przeciwników komunizmu. We Włoszech tytuł nie był dostępny. Cały nakład przekazywano ambasadzie w Libii i rozsyłano po państwach demokracji ludowej, by tam można było powoływać się, że artykuł ukazał się w prasie zachodniej. Tam właśnie zamieszczono oskarżenie pod moim adresem, że ja na mojej pierwszej placówce, w miasteczku Złotniki, między Podhajcami a Trembowłą w woj. tarnopolskim współpracowałem z gestapo.

Spreparowano także inny zarzut, że maczałem palce w aferze w Banco Ambrosiano. Ale tu szybko się okazało, że to wymyślili sowieci. Polscy komuniści nie mogli mi tego zarzucić, bo nie zgadzali się na wydanie mi paszportu.

W czasie głośnego procesu komuniści nie pokazali całej prawdy o morderstwie księdza J. Popiełuszki. Dopiero po latach ujawniono wyniki sekcji zwłok i ogłoszono, że ks. J. Popiełuszko, zanim umarł, był strasznie maltretowany. W czasie procesu to zatajono. Natomiast nagłaśniano w mediach oskarżenia o wrogą politykę wobec władz PRL-u. Podczas tego procesu mnie również wytoczono taki zarzut. To był cios najgłębszy, ale mnie nie załamał. Zdawałem sobie sprawę, że ta linia, którą idę, wymaga wielkiej ofiary i może nawet trzeba będzie ponieść ofiarę taką jak Chrystus. Dziękuję Panu Bogu za ogromne dobro, jakie otrzymałem. Łamałem prawa komunistów, drwiłem sobie z nich i żyję. Przetrzymałem i wygrałem to wszystko.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Stalowej Woli powstał bardzo prężny ośrodek duszpasterski kierowany przez ks. Edwarda Frankowskiego. Wiadomo, że ksiądz arcybiskup wspierał jego różne inicjatywy, dając przykład postawy pasterskiej i solidarności kapłańskiej. Jak ówczesne władze komunistyczne reagowały na taką solidarność?

- Skierowałem ks. E. Frankowskiego do Stalowej Woli, bo wiedziałem, że jest bardzo rozsądnym człowiekiem i ma przygotowanie teologiczne. Postrzegałem go jako człowieka niezwykle uzdolnionego, pełnego energii i poświęcenia, ofiarnego i otwartego na sprawy społeczne. Widziałem wielkie potrzeby w Stalowej Woli. To był taki punkt zapalny w rozrastającym się hutniczym mieście. Powiedziałem mu, żeby robił wszystko, co będzie służyło dobru Kościoła, społeczeństwa i Polski, a wszystkie jego inicjatywy będą popierać. A jeśli pojawią się jakieś trudności, to ma zwracać się z tym do mnie. Liczyłem na to, że on się nie cofnie, wiedziałem, że jest odważny i dodatkowo będzie miał ma we mnie oparcie.

Komuniści stawiali publiczne żądania, żeby zabrać księdza E. Frankowskiego ze Stalowej Woli, jeszcze zanim został biskupem. Uważali, że to jest mój posłaniec, który realizuje tzw. politykę Tokarczuka. Nasilili żądania, kiedy już został biskupem.

Później podczas budowy plebanii w parafii Matki Bożej Królowej Polski, władze zastrzegły budowę. Odcięto centralne ogrzewanie. Wtedy przyjechał do mnie z pytaniem: „co robić?” Powiedziałem: „Księżę, wy wszyscy pójdźcie do prezydenta miasta i powiedzcie mu otwarcie, żeby później nie miał pretensji do nikogo, że jeśli nie zmieni decyzji, to będzie głódówka publiczna, w której weźmie udział biskup”. Wieczorem już ogrzewanie było.

Potem zorganizowano przeciwko niemu akcję. SB rozpowszechniała rozmaite ulotki. To są te bardziej znamienne przykłady.

Dzięki wyrazistej postawie księdza arcybiskupa mamy uczelnię katolicką w Stalowej Woli. Jakie wspomnienia ma ksiądz arcybiskup z czasu budowy Filii KUL?

- Gdy na powołanie uczelni datki ofiarowała „Solidarność” i inne instytucje, to ja też złożyłem ofiarę oraz wyraziłem swoje poparcie dla tego dzieła.

Z tego powodu odnowienie mojego doktoratu w 50. rocznicę zorganizowano w Stalowej Woli. Uczelnia pokazała nawet Lublinowi, na co ją stać. Zaprezentowano imponującą bazę materialną. Udowodniono, że Filia nabiera coraz większego znaczenia i spełnia wielką rolę. Dla młodego miasta, które urodziło się przed samą wojną, uczelnia to wielka szansa.

Równocześnie ta uroczystość pokazała, że miasto ma ambicje i rozwija się. To samo dotyczy osób, które pracowały na rzecz powołania uczelni, na czele z księdzem biskupem E. Frankowskim i całym zespołem, który on dobierał.

Ksiądz arcybiskup podjął starania o nadanie księdzu Edwardowi Frankowskiemu godności biskupa pomocniczego. Jakie były okoliczności nadania tej nominacji biskupiej?

- Miałem przed oczyma plan zmiany administracyjnej Kościoła w Polsce. Wiedziałem, że powstanie diecezja radomska, że powstanie diecezja rzeszowska, że powstaną inne w innych częściach kraju. Wiedziałem, że trzeba ludzi przygotować, by byli odpowiedzialni i znali ducha naszej wspólnej pracy i żeby tego ducha kontynuowali. Nie w sensie „panoszenia się Tokarczuka”, tylko w sensie pozytywnej pracy dla ludzi, dla sprawy Bożej.

Ksiądz Edward Białogłowski i ks. Edward Frankowski pracowali ze mną. Chciałem, by w nowych diecezjach realizowali plan zmiany struktur w Kościele lokalnym. W związku z tym chciałem, aby poznali metody pracy w diecezji. Była to dla mnie sprawa zasadnicza. Z nią wiąże się ciekawa historia. Kiedy podawałem do Watykanu kandydatury tych kapłanów na biskupów, to nominacja do Rzeszowa przyszła, ale dla ks. Frankowskiego nie było odpowiedzi. Wtedy pomyślałem, że ktoś koło tego się kręci.

Ponieważ ks. E. Frankowski zawsze był wybitnym i gorliwym księdzem, już wtedy mieli na niego oko. Ktoś starał się o to, żeby ordynariusz nie dźwignął go wyżej. Kto to był, tego ja nie wiem do dzisiaj. W Krakowie spotkałem na jednej z konferencji ówczesnego sekretarza Papieża, dziś arcybiskupa krakowskiego ks. kard. Stanisława Dziwisza, i powiedziałem mu o tym. Chciałem dotrzeć z informacją bezpośrednio do Ojca Świętego i ominąć wszelkie biura, bo oficjalna korespondencja idzie przez różne kongregacje. Poprosiłem, żeby doręczył do Ojca Świętego list prywatny. Napisałem, że ze wszech miar uważam, że ks. E. Frankowski nadaje się do pełnienia tej funkcji w Kościele. Ale też napisałem, że gdyby Ojciec Święty miał jakieś „ale”, to ja na siłę nie będę tego forsować, ale biorę pod uwagę moje sumienie i moje rozeznanie. Jeśli Ojciec Święty może, to proszę, by księdza E. Frankowskiego mianować na biskupa. I dopiero ten list prywatny poskutkowało.

Komuniści już wtedy przeciwstawiali się księdzu E. Frankowskiemu. Każdy miał kartotekę u nich, bo obserwowali wszystkich i chcieli wybitniejszych kapłanów eliminować, ale tym razem im się nie udało.

Jakie cechy charakterystyczne dostrzega ksiądz arcybiskup w posłudze kapłańskiej i biskupiej księdza Edwarda Frankowskiego?

- Ma dużo darów Bożych: umysłowych i wolitywnych. To jest wielka rzecz. Ma wielką miłość Boga i Ojczyzny. Jest ofiarny, karny, odważny. Wytrwał i nie załamał się w obliczu wielu działań wrogich sił. I dlatego nawet w liście do Papieża o tym zaświadczyłem.

Ksiądz biskup E. Frankowski wypełnił swoje zadania idealnie. Nacierpiał się z powodu ludzkiego niezrozumienia sprawy. A SB wszystko wykorzystywało, np. wspomniana afera, że „Tokarczuk chce Sandomierz zagarnąć”. Partia miała tego Tokarczuka wszędzie dosyć, więc go nie żałowała. A ponieważ Tokarczuk był daleko, a Frankowski blisko, to w pierwszym rzędzie on padał ofiarą.

Mimo tych trudów wypełnił swoje zadanie bardzo dobrze. Wspierałem go. Dałem mu pełnomocnictwo na wszelkie inicjatywy. Tak samo gdy chodzi o katolicką uczelnię w Stalowej Woli. Miałem do tego kapłana pełne zaufanie. Wiedziałem, że to, co robi - robi to tak, jak potrzeba.

Gdy dostałem Order Orła Białego to malarz w Przemyślu namalował dwa moje portrety z tym Orderem. Jeden ofiarowałem ks. bp. E. Frankowskiemu z dedykacją, z podziękowaniem i uznaniem, bo nagrodzone dokonania to nasza wspólna troska. Ofiarowałem ks. bp. Frankowskiemu ten list, dziękując też za pomoc dla „Solidarności”. Zaznaczyłem, że chociaż na portrecie jestem ja, to dzieło jest wspólne. Prawo jest takie, że jeden może być ordynariuszem, a drugi sufraganem, ale wszystkie zadania są ważne. List ten i portret proszę umieścić w państwa książce poświęconej ks. biskupowi E. Frankowskiemu. Ja wszędzie podkreślałem, to że ten Order Orła Białego jest dla diecezji. Na tej uroczystości byłem ich reprezentantem, bo cała diecezja nie mogła pojechać do Prezydenta. Niech to będzie świadectwo uznania i wdzięczności dla wszystkich diecezjan, dla całej wspólnoty.

Dziękujemy za rozmowę

Radna Góra lipiec 2006.